

ŚWIAT JUŻ NIE BĘDZIE TAKI SAM

Z prof. Bogusławem Fiedorem, wiceprezesem Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego i byłym rektorem Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu, rozmawia Stanisław Lejda

– Przeważają opinie, że świat po pandemii koronawirusa już nie będzie taki sam. Czeka nas trudny okres – na wielu płaszczyznach: społecznej, politycznej, gospodarczej itp. – z jakim nie zetknęliśmy się jeszcze w naszym życiu. **Kristalina Georgiewa, szefowa Międzynarodowego Funduszu Walutowego, stwierdziła, że spowodowany chorobą kryzys będzie „znacznie głębszy” niż ten, wywołany krachem finansowym w 2008 roku. Rzeczywiście, będzie aż tak źle?**

– Tego nie wiem. Zgadzam się jednak z ekonomistami, ale także socjologami, psychologami społecznymi oraz politykami, utrzymującymi, że niemal wszystko będzie wyglądało inaczej. Niekoniecznie źle czy gorzej. Mówiąc to, mam na myśli pojęcie wprowadzone do ekonomii na szeroką skalę przez Josepha Schumpetera, jednego z największych ekonomistów XX wieku. Analizując cykle gospodarcze, zauważył, że falowania, jakie od czasu do czasu pojawiają się w gospodarce, można również traktować w kategoriach tzw. twórczej destrukcji.

– **Tym razem raczej trudno mówić o naturalnym cyklu gospodarczym...**

– Oczywiście, nie jest to naturalny cykl gospodarczy, niemniej pojęcie twórczej destrukcji można rozumieć szerzej. Schumpeter uważał, że każdy kryzys może być również źródłem wielu pozytywnych zmian - technicznych, organizacyjnych czy społecznych.

– **Na razie eksperci ekonomiczni i analitycy bankowi koncentrują się na kreśleniu negatywnego wizerunku skutków obecnej pandemii. Prognozują bankructwa wielu firm i katastrofę na rynku pracy. Szacunki bezrobocia dotyczące Polski są rozbieżne – mówi się o jego dwucyfrowym poziomie (na koniec marca wynosiło ono 5,3 procent – przyp. red.). Według analityków mBanku do poziomu PKB z roku 2019 mamy powrócić dopiero w roku 2022. Czy na obecnym etapie rozwoju pandemii jesteśmy w stanie określić jej skutki?**

– Uprzedzam, że nie posiadam zdolności profetycznych, nie mam też w zanadrzu – jak co poniektórzy – cudownych recept na to, jak przez ten kryzys przejść w miarę suchą stopą. Jesteśmy na tak wczesnym jego etapie (*rozmowę*

przeprowadzono 4 kwietnia br. – przyp. red.), że przewidywania dotyczące wielkości makroekonomicznych, o jakich pan mówi, są obarczone ogromnym błędem – nazywanym przez nas fachowo błędem prognozy. Mówiąc potocznie: trudno szacować prawdopodobieństwo wystąpienia takiego czy innego poziomu np. bezrobocia czy spadku PKB. W grę wchodzi zbyt dużo czynników, na razie trudnych do zmierzenia. Ponadto przebieg tej pandemii jest odmienny w różnych krajach, w dodatku choć jest to zjawisko naturalne, w tym sensie że pojawiło się niejako na styku świata człowieka, czy społeczeństwa, i świata dzikiej przyrody, nakładają się na nie uwarunkowania ekonomiczne, społeczne oraz kulturowe, powodujące, że skutki tej choroby dla poszczególnych krajów będą bardzo różne. Myślę, że najlepiej, a na pewno najszybciej poradzą sobie gospodarki azjatyckie, po nich państwa europejskie, w tym zwłaszcza zrzeszone w Unii Europejskiej, a najgorsze perspektywy widzę dla gospodarki amerykańskiej. Jeśli chodzi o te ostatnią, wiąże to przede wszystkim z faktem, że kryzys najmocniej uderza w szeroko rozumiany sektor usług, a w nim jest zatrudnionych w USA około 80 procent ogółu zawodowo czynnych ludzi. Ponadto, może się on przyczynić do pogłębienia i tak bardzo już wysokich w tym kraju różnic dochodowych i majątkowych, do rozszerzania się prekariatu, co może z kolei osłabić przyszły wzrost popytu niezbędnego dla "odbicia" pokryzysowego amerykańskiej gospodarki. Sądzę, że świadomość tego zagrożenia leży - między innymi - u podstaw faktu, że w programie antykryzysowym administracji Trumpa tak duża część wsparcia jest skierowana bezpośrednio do obywateli i rodzin, a także bezrobotnych.

– W jednej kwestii ekonomiści są zgodni: w kolejnych kwartałach ogólnoswiatowa recesja będzie faktem. Czy można oszacować jej wielkość – oczywiście, z prawem do prognostycznego błędu?

– Recesja będzie – to można powiedzieć bez ryzyka. Problem stwarza oszacowanie jej skali. Czy nastąpi spadek światowego PKB o 3-5 procent, czy nawet o 10 procent? Czynnikiem łagodzącym wielkość recesji – z punktu widzenia wskaźników globalnych – może być szybka odbudowa gospodarki chińskiej. Mamy już sygnały, że ona bardzo szybko wraca do poprzedniej sprawności, a biorąc pod uwagę obecny ponad dwudziestoprocentowy już (licząc w USD według siły nabywczej) udział Chin w światowym PKB, możemy liczyć na to, że ożywienie tamtejszej gospodarki pozwoli odtworzyć światowe łańcuchy dostaw. Dzięki temu recesja może być mniejsza. Proszę mnie jednak nie pytać, o ile. Zresztą, w Azji sytuacja też jest zróżnicowana: jako przykład weźmy Koreę Południową. W porównaniu do Europy, Koreańczycy

sprawniej ograniczają pandemię, ale jeśli chodzi o odbudowywanie gospodarki, idzie im gorzej niż w Chinach. Wiemy więc, że recesja na pewno się pojawi i będzie bardzo odmienna w poszczególnych krajach. Jej wielkość będzie zależna od dotkliwości pandemii koronawirusa i czasu jej trwania. Wystarczy porównać Włochy i Hiszpanię z państwami skandynawskimi, gdzie ma ona znacznie mniejszy zasięg. Na zróżnicowanie recesji pomiędzy krajami będą również istotnie wpływały rozmiary pomocy państwa oraz jej skuteczność.

– Jak na tle innych krajów widzi pan sytuację Polski? Analitycy ekonomiczni wskazują, że do tego kryzysu startujemy z wyższego pułapu przyrostu PKB niż inne kraje UE. Tam już przed pandemią koronawirusa gospodarka ocierała się o recesję. Czy przez ten trudny okres – podobnie jak podczas kryzysu w 2008 roku – uda nam się przejść o wiele łagodniej niż innym państwom?

– W 2008 roku Polska była jedynym krajem UE niemającym recesji – najniższy wzrost PKB, licząc kwartał do kwartału, wynosił 1,2 proc. Ale wtedy polska gospodarka otrzymywała ogromne zasilanie z unijnych funduszy strukturalnych. Teraz takiej sytuacji nie mamy. Rzeczywiście, baza wyjściowa polskiej gospodarki jest lepsza niż w wielu krajach, ale nas również czeka ostry spadek, tylko że z wyższego poziomu.

– Czyli będzie on dla nas, obywateli, bardziej dotkliwy?

– Od strony psychologicznej – na pewno. Moim zdaniem, ważniejsze jest coś innego. Okres względnie dobrej koniunktury, a w wypadku Polski bardzo dobrej koniunktury, wiele krajów wykorzystało, by zlikwidować deficyt budżetowy. Czternaście państw UE miało w roku 2018 (nie ma jeszcze w pełni porównywalnych danych dla roku ubiegłego) nadwyżkę budżetową. Polska, mimo tak długiego okresu wysokiego wzrostu gospodarczego miała wciąż - co prawda malejący w ostatnich latach - deficyt sektora finansów publicznych, plasując się w roku 2018 z deficytem na poziomie około minus 0,5% w "środku stawki". Z tej perspektywy w obecnej sytuacji byłoby lepiej, gdybyśmy w poprzednim okresie wypracowali poduszkę ochronną w postaci nadwyżki budżetowej. Marnym pocieszeniem jest, że niektóre kraje Unii, jak na przykład Francja czy Hiszpania, które jednak nie notowały takiego nieprzerwanego okresu szybkiego wzrostu, mają deficyt na poziomie przekraczającym minus 1,5%. Wolałbym się porównywać z Niemcami, które w warunkach bardzo niskiej stopy wzrostu osiągnęły nadwyżkę w wysokości niemal 2%, zdecydowanie największą w liczbach absolutnych w krajach UE.

– Owoce wzrostu gospodarczego pochłonęły przede wszystkim transfery socjalne. Teraz trzeba będzie je ciąć?

– Jak pan powiedział, bardzo dużo poszło na wzrost świadczeń socjalnych, w tym przede wszystkim na rodzinę i dzieci (pod względem ich udziału w PKB plasujemy się na pierwszym miejscu w UE), co miało też dodatnie skutki. Pobudzały one popyt wewnętrzny, który – obok eksportu – był w ostatnich latach głównym czynnikiem ciągnącym polską gospodarkę. Dzisiaj te transfery socjalne są problemem, ponieważ ich skala jest bardzo duża nie tyle w relacji do PKB, ale wydatków budżetowych. Ponadto istnieje bardzo mała skłonność – zarówno po stronie rządzących, jak i opozycji – oceniam ją na bliską zero, żeby powiedzieć otwarcie: chcąc uratować gospodarkę, musimy trochę świadczeń obciąć. Myślę, że spodziewana skala kryzysu będzie tak duża, że takie cięcia - oczywiście w zróżnicowanej wysokości i z wzięciem pod uwagę prostych i przejrzystych kryteriów sprawiedliwości dystrybucyjnej, powinny objąć z jednym wyjątkiem wszystkie podstawowe rodzaje wydatków na szeroko rozumiane zabezpieczenia społeczne. Ten wyjątek to oczywiście wydatki na opiekę zdrowotną. Jednak dla polityków decydujące znaczenie ma kryterium krótkookresowej racjonalności politycznej, z ich punktu widzenia ograniczanie – nie mówię o likwidacji – skali transferów zawsze jest zabiegiem bardzo trudnym. Ale, według mnie, w okresie kryzysu koniecznym.

– Niektóre świadczenia, np. 500+, można by uzależnić od dochodów...

– No właśnie, w Polsce te transfery socjalne są odłączone od kryterium dochodowości, bo to dawało lepsze profity polityczne. Teraz można by je uzależniać od dochodu, a niektóre wręcz zlikwidować albo przenieść na lepsze czasy.

– Na przykład, jakie?

– Pierwszy przykład, jaki mi się ciśnie na usta, to trzynasta i, jeszcze na szczęście niezrealizowana, czternasta emerytura. Pochłaniają one kilkadziesiąt miliardów złotych. W kontekście walki z kryzysem są to niebagatelne sumy.

– Wspomniał pan o długu publicznym i deficycie budżetowym. Obecnie sprawujący władzę podkreślają, że mimo tylu wydatków, systematycznie zmniejszają zadłużenie w obu tych obszarach, podczas gdy mocno rosło ono za rządów ich poprzedników.

– Deficyt budżetowy i w ślad za nim dług publiczny rzeczywiście się zmniejszył, przede wszystkim w wyniku zacieśniania polityki podatkowej oraz

wskutek wzrostu gospodarczego. Zwiększone dochody z VAT czy akcyzy to nie tylko efekt zacieśniania polityki podatkowej. Zawdzięczamy je przede wszystkim temu, że wzrost gospodarczy w Polsce był napędzany przez konsumpcję. Ostatecznym płatnikiem VAT są kupujący, przedsiębiorcom – w zdecydowanej większości – podatek od towarów i usług jest zwracany, natomiast płacą go wszystkie gospodarstwa domowe. Mielśmy dynamiczny wzrost konsumpcji, zatem wpływy z VAT rosły. Teraz, mamy sytuację diametralnie inną: nastąpił dramatyczny spadek konsumpcyjnego popytu, wywołany przez epidemiologiczne obostrzenia, więc dochody z VAT dramatycznie spadną. Obniżą się też dochody z akcyzy, bo będziemy mniej kupować paliw, alkoholi, papierosów oraz zużywać energii elektrycznej, paliw i innych dóbr akcyzowych, stąd dług wewnętrzny Polski się zwiększy. Prognozuje się, że w tym roku wyniesie 50 proc. PKB, czyli osiągnie pierwszy próg ostrożnościowy zapisany w konstytucji. W 2021 roku może dojść do 53 proc., czyli będzie jeszcze poniżej drugiego progu ostrożnościowego, wynoszącego 55 proc. Aby nie uruchamiać restrykcji wynikających z przekroczenia pierwszego progu ostrożnościowego, trzeba będzie się uciec do porozumienia ponadpartyjnego. Myślę, że w tej sprawie dość łatwo powinno dojść do porozumienia między rządzącymi a opozycją, chociaż sprawa nie jest prosta, bo Polska jest jednym z niewielu krajów – i bardzo dobrze, że tak jest! – w których restrykcje za przekroczenie dozwolonego poziomu długu publicznego są chronione konstytucją. Oczywiście, choć wolałbym tego nie komentować, bo to na razie zapowiedzi (*wywiad został przeprowadzony 4 kwietnia - red.*), można też sięgać po "niekonwencjonalne" środki wspierania gospodarki, aby niejako "obchodzić" owe progi ostrożnościowe, na przykład poprzez emisję obligacji przez Polski Fundusz Rozwoju, obligacje skupowane następnie przez NBP, zasilający ten sposób ten fundusz realne pieniądze

– Powiedział pan, że o zgodę w tej kwestii będzie łatwo. Tymczasem w Polsce opozycja i rządzący nie potrafią się dogadać niemal w żadnej sprawie. Ja takim optymistą bym nie był.

– Ale to nie jest problem polityczny, więc mam nadzieję, że jakieś porozumienie w sprawie długu publicznego zostanie jednak zawarte. Jeżeli chodzi o deficyt budżetowy, różne są prognozy – wyniesie on od 5 do 7-8 proc. PKB. Są już zapowiedzi ze strony władz UE, że regulacje dotyczące dyscypliny finansów publicznych będą poluzowane, i zapewne tak się stanie, bo z taką sytuacją nie mieliśmy do czynienia nie tylko w Polsce, ale we wszystkich krajach unijnych.

– **Pojawiają się nawet głosy, że obecny kryzys zaowocuje realizacją Nowoczesnej Teorii Monetarnej. Mówi ona m.in., że politycy przejmą stery od tracących na znaczeniu banków centralnych i zwiększą wydatki – bez ograniczeń związanych z emisją długu. W praktyce oznacza to drukowanie pieniędzy...**

– Drukowanie pieniędzy już ma miejsce, również w Polsce. To nieuniknione. Nie uda się bowiem zapewnić płynności przedsiębiorstwom, a jest to sprawa fundamentalna, jeżeli banki nie poluzują wymogów związanych z kredytami obrotowymi, niezbędnymi dla finansowania bieżącej działalności firm. W związku z tym banki muszą być zasilone w pieniądź. Procedura jest prosta. Banki pożyczają pieniądze w banku centralnym pod zastaw obligacji i innych papierów wartościowych, jakie posiadają w swoich portfelach inwestycyjnych, a bank centralny musi te pieniądze wydrukować. Potem te kwoty nie tylko zasilają gospodarkę, ale przede wszystkim służą skupowaniu rządowych papierów wartościowych, wyemitowanych po to, żeby finansować rosnący deficyt budżetowy.

– **Czym to się skończy – szalejącą inflacją? Czy raczej stagflacją, bo trudno przewidywać, żeby w okresie kryzysu rosły produkcja i PKB. Wielu ekonomistów przewiduje to drugie zjawisko.**

– Oby to jeszcze nie oznaczało pojawienia się slumpflacji, czyli sytuacji, że mamy recesję oraz rosnące ceny, jak przy stagflacji, oraz bardzo duży wzrost poziomu ubóstwa społeczeństwa, związany z masowymi zwolnieniami, spadkiem dochodów i bankructwem firm. Należy bowiem być świadomym, że po poprzednim kryzysie pozostał – odłożony w czasie – ważki czynnik inflacjogeny. Ekonomiści już dawno sygnalizowali, że prędzej czy później pieniądze drukowane przez banki centralne, również przez Europejski Bank Centralny, muszą się wylać na rynek, wywołując dodatkową presję inflacyjną. Ponadto w Polsce w ostatnich latach mieliśmy pełzającą inflację związaną z ogromnym wzrostem transferów socjalnych. I ona by się ujawniła niezależnie od tego, czy byłby kryzys koronawirusowy, czy nie. Taka jest bowiem logika procesów gospodarczych. Stagflacja nie byłaby więc jeszcze najgorszym scenariuszem, bardziej boję się slumpflacji, daj Bóg, żeby się nie wydarzyła.

– **Sądzę, że z tych wszystkich zagrożeń rządzący zdają sobie sprawę...**

– Wiedzą o nich na pewno.

– **...w związku z tym podejmują różne działania. U nas mamy tzw. tarczę antykryzysową, Niemcy zapowiedziały nieograniczone wsparcie dla swoich**

przedsiębiorstw, zarówno dużych, jak i małych, podobnie jest w USA, gdzie dodatkowo luzuje się politykę pieniężną itp. Jak pan ocenia te posunięcia? Przyniosą oczekiwane efekty?

– Znowu nie udzielę jednoznacznej odpowiedzi: tu mądrych nie ma. Powtórzę: nie mam zdolności profetycznych i bardzo się z tego powodu cieszę. Przeglądałem kilkakrotnie materiały dotyczące wielkości tej pomocy i jej struktury w poszczególnych krajach. Wszystkie państwa uruchomiły niespotykane w historii programy, różnie je zowiąc: pomocowymi, mobilizacyjnymi itp. Uważam, że porównywanie ich wielkości – a wielu ekonomistów to czyni – do PKB danego państwa jest bezsensowne. W Polsce, jak i w większości krajów, z USA włącznie, szacuje się to wsparcie na poziomie około 10 proc. PKB. Są jednak kraje, w których jest ono znacznie wyższe: np. w Niemczech może sięgnąć nawet 20 proc. PKB, a we Włoszech – ze względu na skalę problemu – 15-17 proc. W niektórych państwach – np. w Szwecji czy na Litwie – rządowa pomoc będzie niższa niż 10 proc. produktu krajowego brutto. Odniesienie skali antykryzysowego wsparcia jedynie do poziomu PKB jest mylące, ponieważ trzeba brać pod uwagę nie tyle wielkość, co strukturę tej pomocy.

– Jak pod tym względem polska tzw. tarcza antykryzysowa wygląda na tle innych państw?

– Gdy porównamy się z innymi krajami, zauważymy, że są w nich stosowane podobne rozwiązania – tylko w różnej skali. Np. w Stanach Zjednoczonych ogromne pieniądze idą np. na zasilanie bezrobotnych. W Polsce na ten cel nie przeznaczono w tarczy bezpośrednio ani złotówki, chociaż mamy najniższe w Europie wsparcie dla bezrobotnych. Zasiłek dla bezrobotnych dostaje się u nas na poziomie, który trudno określić nawet jako minimum biologiczne, i tylko przez trzy miesiące.

– Z tego wynika, że USA prowadzą politykę bardziej prospołeczną niż PiS?

– Tak bym tego nie oceniał. W Stanach Zjednoczonych po prostu uznano, że będzie to skuteczniejsze narzędzie pobudzania gospodarki. Natomiast w innych krajach dominuje dążenie do przywrócenia stabilizacji gospodarczej poprzez udzielanie gwarancji i poręczeń pożyczkowych dla firm oraz wsparcie dla utrzymania miejsc pracy. Procentowo może to różnie wyglądać w poszczególnych państwach, ale wszędzie jest to największa część pomocy. Do tego dochodzi bezpośrednie wsparcie budżetowe w postaci różnych ulg oraz odroczenia podatków i opłat na świadczenia społeczne. W tym wsparciu

gwarancyjno-poręczeniowym istotne jest to, że w grę nie wchodzi żywa gotówka. W przeciwnym razie banki nie byłyby w stanie udzielać kredytów, zwłaszcza obrotowych. Wspomniane metody są stosowane w rozmaitych proporcjach w poszczególnych krajach, dlatego trudno odpowiedzieć, czy nasza tarcza antykoronawirusowa jest wystarczająca. Sądzę, że nie ma kraju, w którym ekonomiści byliby przekonani, że zastosowane tam programy zapewnią pokonanie kryzysu. Jestem przekonany, że w zależności od sytuacji – i w Polsce, i w innych państwach – będą one ulegały daleko idącym modyfikacjom.

– Skupmy się zatem na naszym kraju.

– Prognozy są złe, mówią o podwojeniu skali bezrobocia, czyli sięgnie ono liczby dwucyfrowej. Mam nadzieję, że ta druga cyfra w tym wskaźniku będzie bliska zeru. W związku z tym pojawi się ogromna liczba ludzi zagrożonych biedą i pojawi się widmo slumpflacji. Wtedy zapewne będzie musiał być rozważony program większego wsparcia dla bezrobotnych.

– I pojawi się kolejny problem: jak go sfinansować?

– I tutaj, moim zdaniem, dochodzimy do ściany: nie da się tego zrobić bez cięć w transferach socjalnych. Bez ograniczenia – nie mówię o ich likwidacji – wydatków na 500+, pochłaniających obecnie ponad 40 miliardów złotych, czyli bez mała 10% planowanych na ten rok wydatków budżetowych. Trzeba będzie się zastanowić (chodzi o oczywiście lata następne) nad dodatkowym wsparciem dla emerytów - tzw. trzynastka to koszt około 12 miliardów złotych. Podobnie, na "lepsze czasy" należy odłożyć projekt 14-tej emerytury, nawet jeśli - jak się projektuje - przy jej naliczaniu byłoby brane pod uwagę kryterium dochodowe. Możliwość w tym względzie jest więcej, że wspomnę przykładowo tylko tzw. wyprawkę szkolną, czyli Program 300plus (koszt dla budżetu ok. 1,5 mld zł). Poważną przeszkodą będzie uzyskanie akceptacji społecznej dla tych rozwiązań. Tym bardziej, że czekają nas jeszcze trudniejsze – z politycznego punktu widzenia – działania.

– Aż do zajmowania kont bankowych obywateli włącznie?

– Nie. Tego nie przewiduję, chociaż zdarzało się tak w niektórych krajach, np. na Cyprze, ale to niewielka gospodarka. Myślę o obniżaniu płac w sferze budżetowej. Tak zrobiono w Grecji czy Hiszpanii. Początkowo były ogromne protesty społeczne, zwłaszcza w Grecji, a dzisiaj, tzn. w roku 2019, ten kraj miał nadwyżkę budżetową. Pewnym uzasadnieniem dla tych posunięć mogło być to, że Grecy przez wcześniejsze dwadzieścia lat żyli ponad stan, a ich rozdmuchane

świadczenia społeczne przekraczały możliwości tamtejszej gospodarki, co w końcu eksplodowało kryzysem finansów publicznych.

– W Grecji obcięto także emerytury. Polakom też to grozi?

– To również może nastąpić, ale w ostatniej kolejności. Sam jestem emerytem, chociaż nadal pracuję, i tego bym nie chciał, ale wykluczyć nie mogę. Oczywiście, robiąc to, powinno się zachować zasady sprawiedliwości społecznej, tzn. jeżeli już wprowadzamy obniżki świadczeń, to na zasadzie, że bogaci stracą więcej, a biedniejsi muszą być chronieni.

– Solidaryzm społeczny nie jest cechą liberalnej ekonomii...

– Ale czy sytuacja nie jest wyjątkowa?! Czy nie domaga się – mówiąc językiem ewangelicznym – takiej solidarności? O skali społecznych wyrzeczeń i ograniczeń prawdopodobnie przekonamy się jeszcze w tym roku. Pandemia koronawirusa nie skończy się szybko, jej skutki potrwać znacznie dłużej.

– Mówiliśmy na początku rozmowy, że świat będzie inny – nie tylko w wymiarze ekonomicznym. To bardzo ciekawe: jak on będzie wyglądał?

– Pojawiają się pierwsze wizje: staniemy się mniej mobilni, wiele naszych aktywności przeniesie się do Internetu, w tym zakupy, telekonferencje zastąpią podróże, nastąpi rozwój edukacji na odległość, osłabi się rola gotówki w obiegu gospodarczym itp.

– To elementy wspomnianej przeze mnie twórczej destrukcji. W sytuacji kryzysowej mogą też nastąpić zmiany pozytywne. M.in. pojawi się więcej lokalności. Zaczną się tworzyć regionalne systemy gospodarki, np. odpadami, wodą, a nawet lokalne systemy energetyczne, co przyniesie wiele pożytku dla środowiska. Te oraz wymienione wcześniej – jak np. uczenie zdalne – skutki pozytywne, też będą kosztować, ponieważ pewne firmy i branże stracą sens istnienia albo będą się musiały mocno skurczyć. Wszędzie tam pracują ludzie. W polskiej gospodarce mamy już strukturę zatrudnienia i konsumpcji podobną do większości krajów wysokorozwiniętych; tzn. ok 60 proc. ludzi pracuje w sferze usług, ten sektor wytwarza ponad 60 proc. PKB, więc nastąpią w nim istotne przemieszczenia. Wywołają je przemiany w wymiarze psychospołecznym. Wolałbym jednak, żeby w tej sprawie wypowiedział się raczej psycholog społeczny, to nie moja domena. Intuicyjnie jednak czuję, że skutki w sferze psychospołecznej mogą być większe niż w gospodarce.

– Dzisiaj zalecana jest bankowość elektroniczna, płatność kartami – obecna pandemia może doprowadzić do całkowitego wyeliminowania gotówki z

obiegu pieniądza. Niektóre kraje zabiegały o to od dawna, chcąc w ten sposób zwalczać szarą strefę.

– Współczesna gospodarka bez pieniądza funkcjonować nie może. Pandemia może znacznie ograniczyć zakres obiegu gotówkowego, co rzeczywiście mogłoby skutkować ograniczeniem szarej strefy. Trzeba jednak pamiętać, że wielkość tej strefy jest bardzo różna w poszczególnych krajach. Jest ona znikoma – maksymalnie na poziomie 5-7 proc. PKB – w krajach skandynawskich, do 15-20 proc. we Włoszech, a na południu tego kraju nawet do 30 proc. Obecny kryzys tak mocno uderza w gospodarkę Włoch właśnie ze względu między innymi na wielkość szarej strefy. O tym się nie mówi, ale tak jest. W Polsce szara strefa plasuje się na poziomie – mówiąc językiem hydrologicznym – nisko-średnich stanów, czyli waha się między 12-15 proc. PKB. Trzeba jednak być realistą, kompletne wyeliminowanie szarej strefy w praktyce jest niemożliwe, prawdopodobnie byłoby zabójcze dla gospodarki.

– **Obecną sytuację niektórzy porównują do wojny, tyle, że z koronawirusem. A podczas wojny władza ma ciągoty do totalitaryzmu, chce zawłaszczyć jak najwięcej uprawnień i mocniej kontrolować społeczeństwo. Z drugiej strony, taka sytuacja wyzwala złe instynkty – wiele firm i ludzi będzie chciało się wzbogacić na tym kryzysie. Już widzimy spekulacyjne ceny na płyny dezynfekcyjne, maseczki itp.**

– Poruszył pan dwa problemy. Zacząłbym od drugiego. Tak zawsze było – wynika to z pewnych cech częściowo wrodzonych, a częściowo nabytych w procesach wychowania, socjalizacji, kształcenia itp. – że egoizm i skłonność do oszustwa są w mniejszym lub większym zakresie dane każdemu z nas. Kiedy są tak sprzyjające warunki jak teraz, żeby zarabiać kosztem bliźnich, to można to potępiać, ale nie należy się temu dziwić, że pojawiają się osoby chcące z tej sytuacji skorzystać. Niejako w sposób naturalny rodzi się potrzeba jakiejś przeciwdziałającej temu nadzwyczajnej regulacji. Pamiętajmy, że nawet w USA, kraju, który tak kocha wolność gospodarczą, podczas II wojny światowej ceny wielu podstawowych dóbr podlegały państwowej regulacji. M.in. po to, żeby przeciwdziałać zjawiskom, o jakich pan mówi.

– **Grozi nam zatem w przyszłości regulacja cen?**

– Rozumiem, że pyta pan o wzrost zakresu regulacji, bo przecież i obecnie mamy wiele cen - zwłaszcza pośrednio - regulowanych, jak choćby ceny energii elektrycznej czy gazu ziemnego. Wracając jednak do pańskiego pytania, mam nadzieję, że nie, bo jednak obecnej sytuacji nie można porównywać z okresem II

wojny światowej. Sądzę, że wymusi ona lepsze funkcjonowanie urzędów regulacyjnych, takich jak Państwowa Inspekcja Handlowa czy Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Optymizm jest moją cechą wrodzoną, więc zakładam, że obecny kryzys z czasem zacznie łagodnieć, aż w końcu wyhamuje, chociaż – jak powiedziałem – nie jestem prorokiem i nie wiem, kiedy to nastąpi. Do bezpośredniej regulacji cen nie wzywam, zresztą myślę, że w obecnej sytuacji w Polsce – jako kraju należącym do UE – byłoby to niemożliwe, gdyż stanowiłoby naruszenie zasad obowiązujących wspólnotę. Na przykład, w najbliższym czasie zgodnie z unijnymi regulacjami na temat liberalizacji cen gazu zostaną zniesione urzędowe taryfy na ceny gazy dla odbiorców przemysłowych. Oczywiście, w sytuacjach nadzwyczajnych i na okres przejściowy w każdym kraju urzędowa regulacja cen może być rozszerzona. Przewiduje to również polska "specustawa" antykryzysowa w odniesieniu do cen niektórych wyrobów medycznych oraz dóbr mających szczególne znaczenie z punktu widzenia kosztów utrzymania gospodarstw domowych.

– W tle pandemii toczy się w Polsce spór o majowe wybory prezydenckie. Opozycja wzywa do wprowadzenia stanu wyjątkowego, wtedy głosowanie można by przesunąć na inny termin. Wprowadzenie takiej regulacji wiązałoby się jednak z ogromnymi odszkodowaniami dla firm. Rząd przed tym rozwiązaniem broni się ze względu na ochronę finansów publicznych. Czy, pana zdaniem, powinniśmy wprowadzić stan wyjątkowy?

– Zostawmy politykę politykom. Opozycja mówi o wprowadzeniu jednego ze stanów wyjątkowych, o jakich mówi konstytucja. Akurat czytałem ten fragment konstytucji oraz ustawę o stanie nadzwyczajnym z 2008 roku. W zasadzie obostrzenia, jakie mamy obecnie, całkowicie spełniają wymogi, jakie w tej ustawie przewidziano dla przeciwdziałania chorobom epidemicznym. *De facto* mamy więc stan nadzwyczajny, chociaż formalnoprawnie nie został on wprowadzony. Rząd obawia się prawa do ubiegania się firm o odszkodowania za straty wywołane lokautem wielu zakładów. Myślę, że to prawdziwy powód niewprowadzenia stanu wyjątkowego, chociaż nie spotkałem się z żadnymi szacunkami wielkości roszczeń ze strony przedsiębiorstw. Mogłyby one sięgnąć nawet kilku proc. PKB. W świetle obowiązującego prawa wysokość tych odszkodowań nie jest jednak jednoznacznie określona i być może wcale nie muszą one być bardzo wysokie, a ponadto ich wypłata może się znacznie rozciągnąć w czasie, Ustawa o stanach nadzwyczajnych z roku 2002 nic o tym wprost nie mówi, ale odsyła do specjalnej ustawy "o wyrównywaniu strat majątkowych wynikających z ograniczenia w czasie stanu nadzwyczajnego wolności i praw człowieka i obywatela" z tegoż roku. Kluczowy w tej ostatniej jest zapis, że odszkodowanie obejmuje wyrównanie straty majątkowej, ale bez

korzyści, które poszkodowany mógłby osiągnąć, gdyby strata nie powstała. Chodzi zatem o straty bezpośrednie, a nie na przykład z tytułu utraconego zysku przez właściciela przedsiębiorstwa, taksówki czy prywatnej szkoły. To zasadniczo mogłoby zmniejszyć rozmiar potencjalnych roszczeń odszkodowawczych.

– Powiedział pan, że Chiny powoli przywracają aktywność gospodarczą, co w skali globalnej może zmniejszyć skutki kryzysu. Tymczasem w Internecie roi się od spiskowych teorii, że ta pandemia jest efektem wojny gospodarczej Stanów Zjednoczonych z Chinami o przywództwo w światowej gospodarce. Obydwa kraje obwiniają się o to, kto tę epidemię wywołał. Jak traktować takie opinie – jako wytwór propagandy obu mocarstw?

– Też o tym wszystkim czytałem. Jestem przeciwnikiem spiskowych teorii dziejów, one rzadko są prawdziwe, kreuje się je na użytek wojen propagandowych czy politycznych. Oczywiście, czasami mogą być prawdziwe, ale uważam, że w tym wypadku tak nie jest. W odpowiedzi na to pytanie chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jedną sprawę. Od wielu lat zajmuję się ekonomią zrównoważonego rozwoju i przyczynę koronawirusowego kryzysu dostrzegam w zakłóceniu relacji między światami człowieka i przyrody. Inaczej mówiąc: w naszej nadmiernej ingerencji w naturalne środowisko, polegającej na ograniczaniu ekosystemów, w jakich żyją określone gatunki zwierząt, deforestacji czy związanej z nią erozją gleb, pustynnieniem, stepowieniem, rozrostem terenów zurbanizowanych itp. To wszystko powoduje, że coraz częściej środowiska życia zwierząt i człowieka zaczynają się przenikać, co również obserwujemy w Polsce, gdzie dzika zwierzyna coraz częściej wchodzi do miast. Tę epidemię można także rozpatrywać w kategoriach międzygatunkowej transgresji. Koronawirus przeskoczył z jednego czy dwóch zwierząt (nietoperze i łuskowce leśne) – bo różne są teorie – ale jest to również wynik nadmiernej ingerencji człowieka w świat przyrody. Podobna była geneza poprzednich pandemii: świńskiej i ptasiej grypy czy SARS.

– Jaki z tego powinniśmy wyciągnąć wniosek?

– Jeżeli nie przemyślimy na nowo związków polityki gospodarczej i polityki środowiskowej, to obawiam się, że nie jest to ostatnia taka pandemia. Następne mogą być jeszcze gorsze. Wracam do Chin. To kraj mający hybrydowy system społeczno-gospodarczy, bardzo brutalny, niekiedy przypominający XIX-wieczny kapitalizm. Praktycznie nie ma tam systemu państwowych świadczeń społecznych i obowiązuje autorytarny system polityczny. Jak uczy historia,

podczas wojen czy w sytuacjach kryzysowych systemy niedemokratyczne bywają sprawniejsze. Ale czy z tego należy wyciągać wniosek, że powinniśmy rezygnować z liberalnych demokracji?! Gorąco przeciw temu protestuję! Należy wyciągnąć pragmatyczny wniosek, że w sytuacjach takiego, jak obecne, zagrożenia musimy w sposób świadomy z części swoich wolności i praw rezygnować, na rzecz mądrego państwa, do którego mamy *z a u f a n i e* (*podkr. B. F. – przyp. red.*). To sprawa fundamentalna – bez zaufania władze nie mogą skutecznie działać.

– Kładzie pan nacisk na zaufanie, problem w tym, że w większości państw europejskich zaufanie do polityków, partii i wywodzących się z nich państwowych przywódców nie jest wysokie.

– I by je pozyskać, politycy zwykle popadają w populizm. Istnieje jednak parę krajów, gdzie zaufanie do rządzących wciąż jest bardzo duże, zwłaszcza w krajach skandynawskich. Powtarzam: z tego jednostkowego chińskiego doświadczenia nie wyciągałbym wniosków, że potrzebne jest przejście od liberalnej demokracji do jakichś innych form rządów demokratycznych. Pamiętajmy też o ważnych w tym kontekście fundamentalnych różnicach kulturowych między Chinami, a także innymi krajami azjatyckimi, w tym charakteryzujących się demokratycznymi systemami politycznymi (Japonia, czy Malezja), a krajami zachodniej cywilizacji. Chodzi o dychotomię: kolektywizm kontra indywidualizm. Abstrahując od tego, także w Polsce takie postulaty pojawiły się niezależnie od pandemii koronawirusa. Według mnie określenie nieliberalna demokracja to klasyczny oksymoron, czyli wewnętrzna sprzeczność, podobnie jak demokracja socjalistyczna. Jednak w sytuacjach wyjątkowych powinniśmy dać dodatkowe uprawnienia rządzącym, do których mamy zaufanie. Problem w tym, tu się z panem zgadzam, że akurat go do nich nie mamy. Jeszcze raz wracając do Chin: z całą pewnością wyjdą one z tego światowego kryzysu wzmocnione.

– Będzie to zarazem koniec wojny o przywództwo w światowej gospodarce? Chiny zmienią USA w fotelu lidera?

– Chiny już przed dzisiejszym kryzysem byłyby pierwszą gospodarką świata, gdyby nie niedowartościowanie juana – zresztą, całkowicie świadome, bo mające pozytywne skutki dla chińskiego eksportu. Po drugie, jeżeli pod uwagę weźmiemy nie kurs wymiany niedowartościowanego juana, lecz siłę nabywczą tej waluty, to Chiny już dwa lata temu stały się gospodarczym numerem 1. Tyle

mówi statystyka, natomiast istotniejsze jest to, że Chińczycy zapewne wykorzystają ten kryzys, by się na tej pozycji umocnić.

– Wykupią wiele światowych firm, które straciły połowę, a nawet więcej ze swojej wartości?

– Na pewno zwiększą swoją tzw. pomoc rozwojową dla krajów Afryki, gdzie i tak od lat dominują. Bardzo ostro wchodzi też na teren Ameryki Południowej, zwłaszcza na północ tego kontynentu, np. do Ekwadoru czy Kolumbii. To nie przypadek, tam jest ropa. Ponadto dzisiaj Chińczycy przodują w technologiach komunikacyjnych i mogą je wykorzystywać do umacniania swojej gospodarczej przewagi. Pokazali, że potrafią z nich korzystać w walce z pandemią, ale mogą ich także użyć do innych celów, niekoniecznie takich, jakie nam, ludziom wychowanym w warunkach liberalnej demokracji, będą się podobać. Niewątpliwie Chiny będą zwycięzcą w walce z tą pandemią.

– Czy z tego wynika, że po zakończeniu pandemii koronawirusa powstanie nowy układ społeczno-polityczno-gospodarczy świata? W Polsce też dużo się zmieni?

– W skali świata te zmiany są oczywiste i o nich już mówiliśmy. Natomiast przewidywania dotyczące Polski są trudne, ponieważ w naszym myśleniu wydaje się dominować populizm. Mimo kryzysu wciąż będzie on dawał przewagę partii obecnie rządzącej. A jeśli jeszcze dodatkowo nastąpi ubożenie społeczeństwa, to ten fakt raczej PiS wzmocni. Dlatego nie sądzę, żeby w Polsce w krótkim bądź średnim okresie nastąpiła jakaś istotna zmiana, jeśli chodzi o układ sił politycznych. Tendencje populistyczne wzmocnią się nie tylko u nas. I być może w niektórych krajach – mam nadzieję, że nie w Polsce, chociaż nie jestem tego pewien – na tej bazie pojawi się tęsknota do rządów bardziej autorytarnych, polegająca na próbach poszukiwania jakichś nowych modeli nieliberalnej demokracji. Z całą pewnością zaś będzie to skutkowało rosnącą społeczną legitymizacją dla silnego i scentralizowanego państwa, także dla wzrostu roli państwa jako nie tylko regulatora zjawisk i procesów gospodarczych, ale i powiększania sektora państwowego w gospodarce. Chciałbym jednak zakończyć optymistycznie: uważam że, chociaż liberalna demokracja przechodzi kryzys, to remedium na nią nie są rządy autorytarne. Trzeba tę demokrację naprawiać, np. poprzez więcej dialogu i porozumienia.

– I tu znowu jest problem: zarówno zwolennicy liberalnej demokracji, jak i innych, będących z nią w sporze ruchów politycznych, nie chcą ze sobą rozmawiać. Międzypartyjny dialog z reguły ogranicza się do taktycznych

rozgrywek, mających narzucić dyktat drugiej stronie sceny politycznej. Napięcia polityczne i brak konstruktywnych dyskusji rządzących z opozycją, to cecha większości krajów, nie tylko Polski.

– To jest właśnie efekt choroby, jaką obserwujemy, polegającej na tym, że demokracja oraz wynikające z niej rządy prawa, zostały w zasadzie ograniczone i sprowadzone do mechanizmu większościowego głosowania. Stąd tylko krok do rządów autorytarnych. Istotą demokracji jest przede wszystkim dyskusja i wymiana poglądów, a większościami podejmowane decyzje nie powinny pod szyldem woli suwerena służyć jedynie utrwalaniu władzy, chociaż to też oczywiście jest immanentną częścią demokratycznego porządku prawnego, ale przede wszystkim powiększaniu dobra wspólnego. Istnieje pojęcie demokracji deliberatywnej, nawiązujące przede wszystkim do myśli filozoficznej i politycznej Johna Rawlsa i Jürgena Habermasa, opartej właśnie na dialogu, porozumieniu i poszanowaniu mniejszości. Ona mi się marzy, ale obawiam się, że to moje marzenie ma niewielkie szanse realizacji w najbliższym czasie.

– **Dziękuję za rozmowę.**